

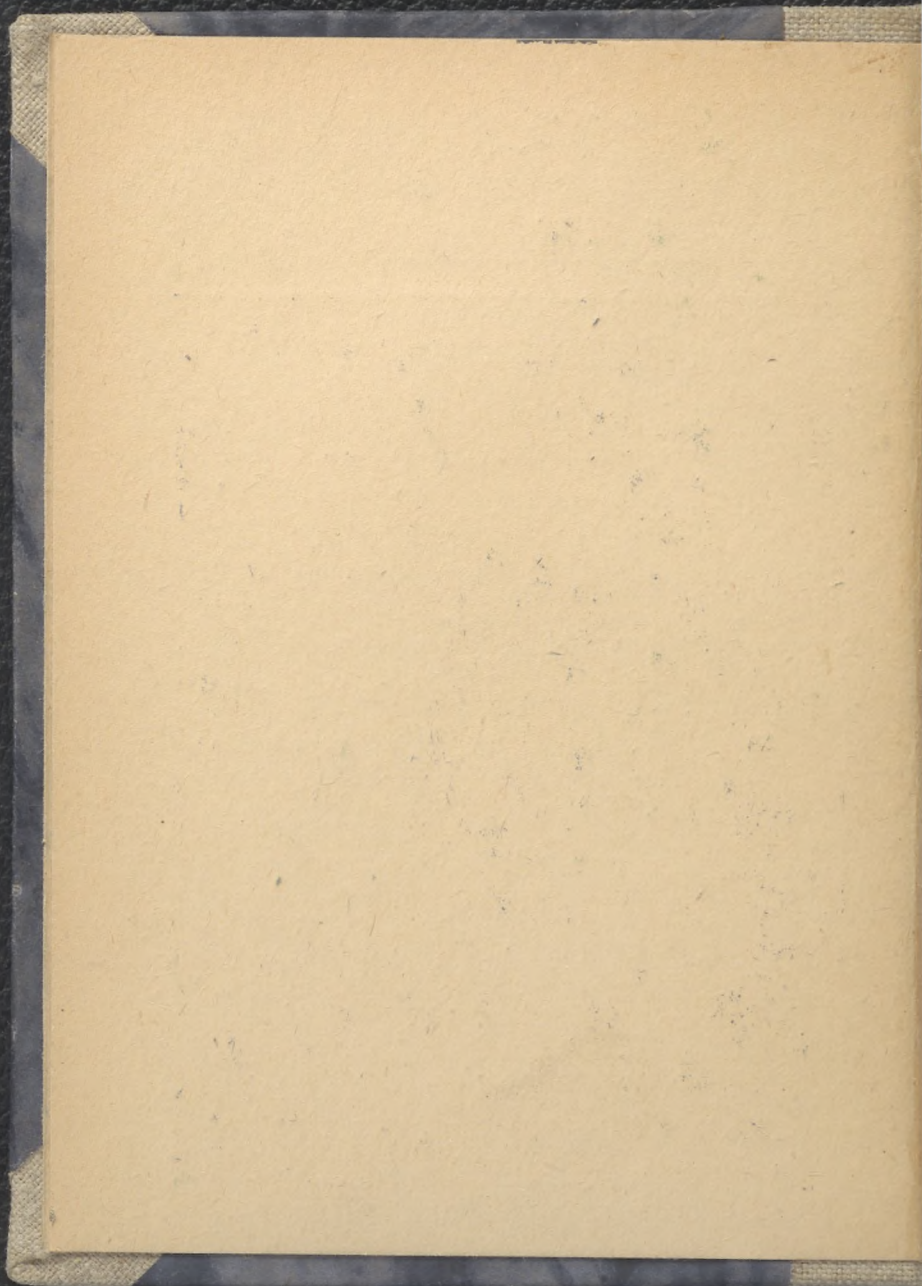
-600.952

3000

X

GDY PAN JEZUS BYŁ MAŁĄ DZIECINĄ...





STELLA KOZŁOWSKA

**GDY PAN JEZUS
BYŁ MAŁĄ DZIECINĄ...**

LEGENDY I OPOWIADANIA



1 9 3 7

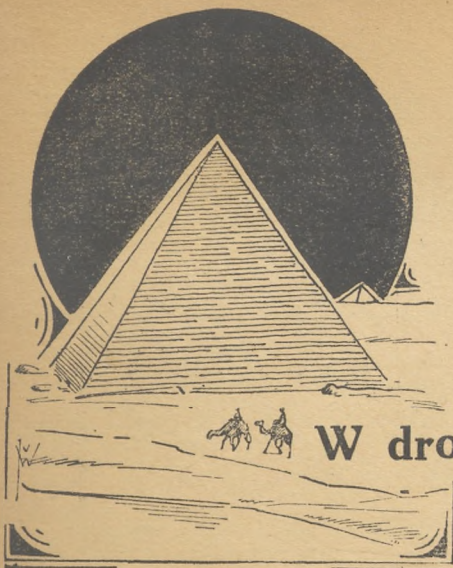
DRUK I NAKŁAD WYDAWNICTWA MISJONARZY
SŁOWA BOŻEGO, GÓRNA GRUPA

PRZYJACIOŁOM I CZYTELNIKOM
MAŁEGO MISJONARZA

WYDAWNICTWO

I-600.952





W drodze do Egiptu

Jeszcze noc kirem głębokim otaczała ziemię, kiedy Matka Boża usłyszawszy ciche skrzypnięcie drzwi w sąsiedniej izdebce zerwała się z posłania. Podeszła do okna i w ciemności zamajaczyła jej wyniosła postać św. Józefa, krzątającego się po małym podwórku. Dziwny jakiś lęk ogarnął jej serce. Nie znając przyczyny niepokoju przeczuwała jednak, że coś zagraża ich cichemu życiu w Betlejemie i modliła się o odwrócenie nieszczęścia. Trwało dość długo, zanim znane kroki rozległy się znów za ścianą i zaraz usłyszała pukanie do drzwi.

Święty Józef w oględnych słowach oznajmił Najświętszej Pani, że po całej ziemi judzkiej rozlega

się płacz i narzekanie, gdyż z rozkazu okrutnego króla Heroda siepacze przebiegają cały kraj i mordują małe pachołeta, chcąc w ten sposób zgładzić ze świata Mesjasza, o którym mówili prorocy, iż będzie królem żydowskim. Mówił też, że w nocy ujrzał Anioła, który kazał mu ze świętą Rodziną uchodzić natychmiast do Egiptu. Więc przygotował już wszystko, co potrzeba na drogę i oto przed domem czeka osiołek, który Najświętszą Panią z Dzieciątkiem zanieś do obcego, dalekiego kraju.

Najświętsza Maryja Panna przeraziła się bardzo na myśl o grożącym jej Synaczkowi niebezpieczeństwie, ale posłuszna wezwaniu zebrała co najpotrzebniejsze rzeczy, wyjęła z kolebki śpiącego Jezuska, otuliła go w płaszcz i z pomocą Opiekuna wsiadła z Boskim Dzieciątkiem na osiołka. Pod osłoną nocy niepostrzeżenie opuścili Betlejem.

Droga była daleka. Dopóki nie wyszli z kraju żydowskiego, podróżowali nocami a dni spędzali w lasach lub na polach, zdala od uczęszczanej drogi, gdyż chcieli uniknąć spotkanie z siepaczami Heroda. Aby nie zbłądzili, w nocy ukazywała im się na niebie jasna gwiazda, która szła przed nimi oświetlając drogę i wskazując jej kierunek. Za dnia, gdy chcieli spocząć, rozłożyste drzewo figowe użyaczało im cienia i chroniło przed palącymi promieniami słońca, a jego liście służyły świętej Rodzinie za mięciutkie posłanie, tak, że z mrokiem wstawali rzeżcy i rażno udawali się w dalszą drogę.

Pewnego dnia pod wieczór niebo zachmurzyło się grożąc deszczem, i św. Józef bardzo się obawiał, że po-



Uciezka św. Rodziny.

zbawieni dachu nad głową — Matka Boża i Dzieciątko zmokną. Weszli więc głębiej w las, by się schować pod konarami drzew, jednakże mała była to ochrona. Nagle zabłysło przed nimi jakieś światło. Idąc w tę stronę zobaczyli nędzną chatkę, a na pukanie do drzwi wyszedł ogromny, ponuro wyglądający mężczyzna. Był to groźny zbój, który po drogach napadał podróżnych. Jednakże na widok słodkiej twarzyczki Dzieciątka na rękę ślicznej niewiasty dziwnym wzruszeniem zadrgało mu serce i pokornie poprosił wędrowców do chaty, gdzie jego żona skwapliwie zakrzętała się, aby ich ugościć. Najświętsza Paniienka korzystając ze sposobności, wykąpała Dzieciątko, na co patrząc żona zbrojcy ze łzami poprosiła, aby jej było wolno w tej wodzie zanurzyć własnego, trędowatego synka. Ufność jej została wynagrodzona, gdyż syn zbrojcy natychmiast został uzdrowiony. To też wdzięczność rodziców nie miała granic i nazajutrz żona zbrojcy czym mogła najlepszem obdarzyła na drogę świętych wędrowców, a jej mąż odprowadził ich daleko, krótszą i bezpieczniejszą drogą. Jak mówi podanie, był to ten sam Dysmas, dobry łotr, który zawisł później na krzyżu obok Chrystusa i jako skruszony grzesznik, otrzymał od niego obietnicę zbawienia.

Długo jeszcze wędrowała święta Rodzina, zanim doszła do celu podróży. Bywało, że błądzili idąc bezludną pustynią, ale wtedy przybiegały dzikie zwierzęta i lasiły się u ich stóp, a potem pędziły naprzód, wskazując im drogę. Gdy byli spragnieni, nagle wytryskiwało źródło z orzeźwiajączą wodą, gdy byli głodni —

ukazywała się smukła palma i zaledwie święty Józef wyciągnął rękę, schylała nisko dumną koronę, podsuwając staruszkowi pęk soczystych daktyli.

Aby nie nudziło się Jezuskowi w długiej podróży, zlatywały ptaszki i rozweselały go cudnym śpiewem. Nad drogą wyrastały śliczne kwiaty, roztaczając dookoła balsamiczną woń. W ten sposób cała przyroda służyła swemu Stwórcy i Panu, według przepowiedni proroka: „Rozraduje się pusta i bezdrożna i rozweseli się pustynia i zakwitnie jako lilia.“

Według podania święta Rodzina po przybyciu do Egiptu zamieszkała najpierw w Heliopolis, co oznacza „miasto słońca“. W mieście tym, jednym z najwspanialszych w ówczesnym Egipcie, znajdowała się świątynia żydowska, pobudowana przez arcykapłana Oniasza, który zmuszony do ucieczki z kraju, schronił się do Heliopolis wraz z innymi uchodźcami żydowskimi. Trudno było jednak znaleźć mieszkanie, więc święty Józef urządził je w starej, zapadłej świątyni pogańskiej i tam osiedli, utrzymując się z pracy rąk. Święty Józef zarabiał pracą ciesielską, Najświętsza Maryja Panna nauczywszy się pięknych robót za czasów pobytu w świątyni jerozolimskiej, tkła piękne kobierce i inne wykonywała przedmioty. Osłoda w znoonej pracy na wygnaniu był im widok świętego Dzieciątka, które rozwijało się ślicznie, nad podziw mądre i roztropne.

Niestety, złość ludzka nie pozwoliła na dłuższy pobyt w „mieście słońca“. Uchodząc przed prześladowaniem pogan, święta Rodzina szukać musiała innego

schronienia. Nie mogąc go znaleźć w starej stolicy egipskiego kraju, w Memfis, zatrzymali się wreszcie w ubogiej wiosce zwanej Matera (Matarna). Była to pustynna okolica, gdzie brak było nawet dobrej wody. Na błagalną prośbę Najświętszej Maryi Panny do Boga o pomoc, wytrysnęło w suchej, piaszczystej ziemi źródło, zwane po dziś dzień „studnią Maryi“, a ziemia, nędzna dotąd i jałowa, zamieniła się w urodzajny ogród.

Tutaj, jak opowiada w swych widzeniach Katarzyna Emmerich — Pan Jezus jako małe pacholę matce swej pierwsze zaczął czynić posługi — tutaj też święta Rodzina spędziła kilka lat wygnania swego, dopóki Anioł nie oznajmił znów we śnie świętemu Józefowi, że zmarł okropną śmiercią krwiożerczy Herod i że mogą znów powrócić do rodzinnej ziemi.



Gwiazda wigilijna



Akiedy Herod zmarł, anioł ukazał się we śnie Józefowi i rzekł mu: „Pomarli ci, którzy szukali duszy dziecięcej. Wstań, weźmij Dziecię i matkę Jego, a idź do ziemi izraelskiej.“

Posłuszny rozkazowi nieba, stary Józef zabrał Boską Dziecinę, Najświętszą jego Matkę i opuścił Egipt, gdzie znaleźli ochronę przed złością Heroda i jego siepaczy.

Droga była daleka. Najświętsza Maryja Panna jechała, trzymając Jezusa na rękach, na tym samym osiołku, który przyniósł ich do Egiptu, a święty Józef szedł obok zwierzęcia, zachęcając je do szybszego chodu. Ale osiołek postarzał już nieco i zleniwiał, szedł więc coraz ociężalej, zwłaszcza gdy opuścili granice Egiptu, gdzie przywykł do cieplejszego klimatu. Była już bowiem zima i im dalej szli wędrowcy, tym dotkliwiej dawało się uczuć zimno. Popadywał śnieg i zasypywał ślady kół i stóp, które wskazywały drogę,

to też coraz trudniej orientował się św. Józef, w jakim należy iść kierunku.

Osiółek zmęczony był i głodny, gdyż na zasypanych śniegiem przydrożnych polach nie mógł odgrzebać nawet kłaczka pożółklej trawy, a nie chcąc dokładać mu ciężaru, św. Józef nie zabrał ani garstki owsa, licząc na to, że po drodze gościnni ludzie nakarmią nie tylko wędrowców, ale także i bydłątko.

Tymczasem jak okiem rzucić — pusta równina, ani śladu ludzkiej sadyby!

Zziębnięty Jezusek drżał w ramionach matki, a ona, jak mogła, otulała go i ogrzewała ciepłem swego ciała, sama jednak coraz większe odczuwała znużenie i głód. Nie chcąc jednak robić przykrości świętemu Opiekunowi, milczała, widziała bowiem, jak jest zafrasowany i smutny, że nie może swojej rodzinie wynaleźć na noc przytułku.

Ściemniało się coraz bardziej. Na okryte śnieżnym całunem pola słały się długie cienie, przydrożne krzewy niesamowicie wyciągały ramiona, wysuwające się z pod bieli śniegu, jak czarne macki polipa. Zdawało się, że pod ich osłoną kryją się jacyś zbóje, czekający sposobnej chwili, by napaść na bezbronnych podróżnych, którzy odważyli się puścić samotrzeć w daleką drogę.

Wkrótce zapadł gęsty mrok. Trudno teraz było posuwać się naprzód, gdyż osiołek stawiając nogi po omacku, co chwila potykał się na nierównym gruncie.

„Ach, gdybyż choć jedna gwiazdeczka ukazała się na niebie — westchnął w duszy strapiiony staruszek Jó-

zef — wiedziałbym przynajmniej, jak się kierować, bo może chodzimy wciąż w kółko i nigdy nie dojdziemy do jakiego ludzkiego osiedla. A nocować na polu niepodobna, gdyż Dzieciątko zmarłoby nam na śmierć!”

Pan Jezus, który już usypiał w objęciach swej Najświętszej Matki — chociaż św. Józef głośno myśli swej nie wypowiedział, boską mocą przeniknął ją. Uśmiechnął się słodko i spoglądając w niebo, zawołał:

„Boże Ojczy, zeslij nam gwiazdeczkę — przewodniczkę!”

Zaledwie Pan Jezus te słowa wypowiedział, na czarnym firmamencie wypłynęło złote oko i zaczęło mrugać ku wędrowcom.

Nabrali zaraz lepszej otuchy. Święty Józef wiedział już, jak iść, nawet osiołek raźniej stąpał i poruszał długimi uszami na znak zadowolenia, bo przeczuwał, że gwiazdka zaprowadzi błądzących do ciepłej chaty, a i dla niego znajdzie się jakiś kącik i garstka siana.

Jako też po niedługiej wędrowce zamajaczyły im zarysy jakiegoś domostwa, zaświeciło okienko, przez które padał z izby blask na drogę.

Gdy wreszcie stanęli przed drzwiami chaty, po pierwszym już zastukaniu otworzył je siwy wieśniak i zobaczywszy, że ma przed sobą młodą niewiastę ze ślicznym dziecięciem oraz poważnego staruszka, gościnnie poprosił ich, aby weszli do wnętrza.

Właśnie na stole stała wieczerza i liczna rodzina wieśniaka zasiąść miała do posiłku. Posadzono gości na honorowych miejscach i gospodarze na wyścigi sta-

rali się im usłużyć, podając co lepsze kąski. Potem — aby zabawić Dzieciątko — córki i synowie gospodarzy śpiewali wesołe pieśni, wtórując sobie na gęśli i flecie. Mały Jezusek tak był rozbawiony, że nie miał wielkiej ochoty pójść do kolebki, której mu odstąpiła najmłodsza córeczka wieśniaka, posłuszny jednak woli matki zasnął słodko, bezpiecznie pod dachem poczciwych ludzi.

Starsi długo jeszcze gwarzyli. Święty Józef opowiadał, jakie przeszli koleje, chroniąc Dzieciątko przed srogim Herodem, a Najświętsza Panna przypomniała, że tego właśnie wieczora przypada rocznica narodzin Jezusa. Oboje wieśniacy słuchali z szacunkiem, gdyż prostym a bogobojnym sercem przeczuli, kogo goszczą pod swym skromnym dachem.

I błogosławili gwiazdkę, która im przywiodła świętych gości, ślubując, że na tę pamiątkę rok rocznie dnia tego nie prędzej zasiądą do wieczerzy, aż ukaże im się pierwsza niebios posłanka.

Stało się to zwyczajem w owym kraju i rozposzechniło potem w całym chrześcijańskim świecie, a w Polsce zachowało aż do czasów obecnych.



Jak Pan Jezus oswoił wilki



Było to już dawno, blisko tysiąc lat temu, wówczas, kiedy Święta Rodzina na wieść o śmierci Heroda opuściła Egipt, gdzie szukała schronienia przed srogim tyranem powracała w rodzinne strony.

Wędrowcy znajdowali się już w połowie drogi, gdy spadł obfity śnieg. Cała ziemia była pokryta białym całunem, który w blaskach słońca migotał tysiącami skrzęcych brylantów. Mały Jezusik radował im się niezmiernie i co chwila wyrwał z rąk swej Mateńki, chcąc zbierać rozsiane po ziemi lśniące gwiazdki, a kiedy rozplywały mu się w rączkach, klaskał nimi z uciechy.

Miejscami śnieg leżał tak grubą warstwą, że Święta Rodzina z trudem brnęła przez zasy i jako że wówczas nie było jeszcze zwyczaju obsadzać dróg drzewami, więc często zbaczali z niewidocznego pod śniegiem gościńca. Było jeszcze gorzej, gdy dotarli do lasu, który przejść pragnęli przed nocą, bowiem na drugim jego końcu stała chatka drwala, dobrego znajomego św. Józefa, u którego święci podróżni spodziewali się

znaleźć dach nad głową i garść słomy dla przespania się i wypoczęcia po trudach podróży.

Mrok jednak zapadł dość prędko, gdyż nieba nie było prawie widać przez zwarte w boru sklepienie strzelistych cedrów i rozłożystych sykomor, więc szli prawie po omacku. Wkrótce też spostrzegli, że zbłądzili.

Ani mowy o tym, żeby trafić do chaty drwała, więc po radzie z Najświętszą Panią, św. Józef naścinał toporkiem, z którym jako cieśla nigdy się nie rozstawał, zielone gałązki iglastych drzew i ułożył z nich posłanie dla Matki Boskiej i jej Synaczka, a sam stanął na straży, by pilnować ich przed dzikim zwierzem i złym człowiekiem.

Dzieciątko okryte dużą, ciepłą chustą, od dawna już spało smacznie w objęciach swojej Matuli. Święci Rodzice rozmawiali jeszcze, wspominając przeżyte w Egipcie czasy i naradzając się, jak urządzić sobie życie w Nazarecie.

Wkrótce rozmowa się urwała, gdyż podróżni strudzeni byli i senni. W lesie panowała taka cisza, że można było usłyszeć bicie własnego serca.

Nagle Najśw. Maryja Panna spojrzawszy wprost przed siebie, zawołała:

„A jednak przez tę gęstwą gałęzi zabłąkały się tu dwie gwiazdki! Patrz, mój małżonku, jak nisko one świecą!“

Św. Józef spojrział we wskazanym kierunku i zdumiał. Już zresztą nie dwie świeciły gwiazdeczki, ale cztery światelka ukazały się w ciemnej gardzieli boru.

„Dziwna rzecz — mruknął do siebie staruszek — te gwiazdki świecą tak nisko i co chwila zmieniają miejsce — ruszają się to na prawo, to na lewo i wciąż na jednym świecą poziomie... Gdyby to nie była zima, myślałbym, że to są świętojańskie robaczki!”

Nagle przerażenie ścięło lodem serce opiekuna Najświętszej Panienki i Boskiego Dzieciątka.

„Już wiem — pomyślał struchlały — to wilki!”

Ścisnął mocniej siekiere, którą trzymał w ręce dla bezpieczeństwa i nieznacznie wysunął się przed Matkę Boską, aby Ją wraz z Dziecięciem osłonić przed napaścią dzikiego zwierza. Ale w piersi serce tłukło mu się z niepokoju, gdyż wiedział, że sam nie da rady wilkom i modlił się w duszy do Boga Ojca o pomoc i wybawienie ze strasznej opresji.

A tymczasem wilki nadchodziły coraz bliżej...

Najświętsza Panna zdziwiła się, że stary Józef nagle zamilkł i swoją osobą zasłonił przed nią bór — dojrzała jednak, że owe światełka zbliżają się coraz bardziej, a po chwili doszło ją także ponure wycie krwiożerczych zwierząt. Zrozumiała i ona, biedactwo, że grozi jej Synaczkowi straszne niebezpieczeństwo i silniej przytuliła Go do serca. Z przerażenia nie mogła wymówić ani słowa i tak w milczeniu czekali ze świętym Józefem, co się stanie.

Wycie pary wilków, które znalazły się już o kilkanaście kroków od podróżnych, zbudziło wreszcie Boskie Dzieciątko, które rozglądało się dokoła zdziwionymi oczętami. Święty Józef uchylił się nieco na bok, by

dać lepszy rozmach swej cisielskiej broni i wtedy Pan Jezus ujrzał zbliżające się zwierzęta.

Uśmiechnął się do nich i wyciągnął rączki...

A wtedy ze zwierzętami stało się coś dziwnego.

Przypadły do ziemi i przyciskając paszcze do leśnego mchu, skomlały z cicha i uderzały ogonami, jakby się ciesząc i witając podróżnych. Trwało to dłuższą chwilę, aż zrozumieli rodzice Pana Jezusa, że stał się cud, że dzikie zwierzęta odczuły obecność Boga i nic im złego nie zrobią. Dzieciątko z kolan Matki rwało się ku nim i najbliższe pogłaskało po głowie. Oba podpełzły bliżej i lizwały stopy podróżnych, a potem ułożyły się już przy nich, jakby obejmując straż nad tym trojgiem wygnańców, których ciężka dola zmusiła spędzić noc w odludnym lesie.

A oni nie bali się już ni złych ludzi, ni drapieźników leśnych, bo czuli, że Bóg Ojciec przysłał im te zwierzęta, pod których opieką będą mogli spocząć bezpiecznie. Więc ułożywszy się na pachnącym żywicą posłaniu, zasnęli spokojnie.

Gdy zaświtało, wilki zbudziły ich cichym skomleniem. Dobywszy z tłumoczek zapasy żywności, posilili się, rzucając też swoim stróżom nieco chleba, a potem udali się w dalszą podróż. Wilki towarzyszyły im i biegnąc naprzód, węszyły na wszystkie strony, jakby szukając drogi do ludzkiej siedziby. Istotnie koło południa poczuli jakiś dym i wkrótce doszli do chaty drwala.

Drwal stał właśnie przy furtce ogrodzenia, okalającego jego domostwo i strapił się na widok wilków.

Już zamierzył się na jednego toporem, kiedy święty Józef zawołał, że to zwierz oswojony i nie pozwolił zrobić mu krzywdy.

Drwał przyjął Świętą Rodzinę radośnie. Chciał zatrzymać ich u siebie jeszcze dłużej, ale Najśw. Pannie i świętemu Józefowi tęskno było za domkiem w Nazarecie i chcieli jak najprędzej znaleźć się znów u siebie.

Drwał odprowadził Najświętszą Rodzinę aż do skraju lasu. Wilki szły z nimi, nie odstępując ani na chwilę. W drodze broniły ich przed napadami rozbójników i dzikich zwierząt, a jeśli byli zmuszeni nocować pod gołym niebem, kładły się u ich nóg i ogrzewały je własnym ciepłem. Nieraz nawet służyły za wezłowie świętym podróżnym. A małego Jezusa zabawiały uciészonymi skokami i figlami, tak, że radośnie klaskał w rączki i uśmiechał się słodko.

Wierne zwierzęta nie opuściły nigdy Najświętszej Rodziny. Po powrocie do rodzinnych stron objęły straż nad ich domkiem, pilnując go szczególnie w nocy, gdy wszyscy spali. Żaden zły człowiek nie śmiał się zbliżyć, gdyż wilki z daleka już posłyszały jego kroki i oznajmiały o tym głośnym szczekaniem.

Kiedy się rozmnożyły, św. Józef rozdarował szczenięta pomiędzy swoich przyjaciół. I one wyrosły na piękne zwierzęta, pozbawione dzikości i przywiązane do ludzi.

Te przyswojone przez Pana Jezusa wilki — były przodkami naszych wiernych i pocziwych Burków i Brysiów.

Choinka Dzieciątka Jezus



Czwartą już z kolei rocznicę narodzin Boskiego Dzieciątka obchodzili Najświętsza Maryja Panna i św. Józef w ubogim domku w Nazarecie. Dnia tego modlili się dłużej jeszcze niż zwykle, składając podziękowanie Bogu za to, że im powierzył swój skarb najcenniejszy i wspominali radość i szczęście, zaznane owej świętej nocy.

Tego roku zawitała do krainy judzkiej zima szczególnie ostra i śnieżna; pola i drogi zasypane były tak wysoko, że dorosłemu człowiekowi trudno było przejść. To też mały Jezus już od kilku dni pozostawać musiał w domu, a chociaż było mu w nim ciepłutko i przytulnie i Mateńka starała się go zabawić — Dzieciątko, przywykłe do swobody, posmutniało nieco i tęsknie spoglądało przez okno na białe puchy rozesłane przed domem — na widniejące w oddali zielone świerki, które ugięły się pod ciężarem spadłego w nocy śniegu.

Jezusek lubił bardzo, wiosną i latem przechadzać się po lesie, po polach i łąkach. Kochał zwierzęta i ptaszki, drzewa, piękne kwiaty i niepozorne zioła, każdą trawkę i kamyczek polny — wszystko, co Bóg Ojciec stworzył na radość i pożytek ludziom. Czasem pochylał się nad skromnym pączkiem, pieścotliwie muskał go paluszkami, a pod tym delikatnym dotknięciem pączek rozwijał się w najcudniejszy kwiat i słodką wonią napelniał powietrze. Godzinami całymi mógł się wpatrywać w czyste, lazurowe niebo, gonić oczkami przesuwające się po nim białe, lekkie obłoczki. Wiedział, że tam, wysoko, stoi tron jego Ojca i z bijącego gorącym uczuciem serduszka słał Mu słowa miłości i uwielbienia.

Teraz jednak zimno i śniegi pozbawiły go tej radości. Matula drżała o zdrowie ukochanego Synaczka, a on za nic nie sprawiłby jej przykrości nieposłuszeństwem lub domaganiem się tego, co mu było wzbronione... Przez okno dojrzeć mógł tylko skrawek nieba i parę drzewek — dalszy widnokrąg zasłaniały domki miasteczka. Więc tęsknił... ale starannie ukrywał to przed Matką i Opiekunem, nie chcąc ich martwić, zwłaszcza w dniu tak dla nich pamiętnym i droгим.

Anioł, który dnia tego wyznaczony był na służbę Jezuskowi, zauważył jego wewnętrzny, tajony smutek i zafrasował się bardzo. Rozmyślał długo, czymby go rozweselić, aż wreszcie radośnie klasnął w białe dłonie.

* * *

Nadszedł wieczór i Najświętsza Rodzina, siedząca przy wieczerzy, skończyła właśnie skromny posiłek,

kiedy w drugiej izdebce rozległa się melodia wesołej kolendy. Jezusek zerwał się żywo ze swego zydelka, biegnąc ku zamkniętym drzwiom, a za nim podążyła Matka Najświętsza.

Świętemu Józefowi dokuczał bardzo reumatyzm, więc zanim się podniósł, już z drugiej izby doszły go radosne okrzyki Boskiej Dzieciny. Przyspieszył kroku, o ile mu na to pozwoliły stare nogi i oto jaki wspaniały oczom jego przedstawił się widok!

Na środku izdebki stała śliczna choinka. Gałązki jej, z których zwisały się długie, złociste szyszki, obasypane były śnieżnym puchem, a rozmieszczone po całym drzewku gwiazdeczki mrugały świetliście i zapalały ogniste iskierki w płatkach śniegu.

Jezusek nie posiadał się z radości! Klaskał w rączki, przytupywał drobnymi nóżkami i biegał dokoła drzewka, oglądając z osobna każdą gwiazdeczkę, gładząc zielone szpileczki choinki i goniąc oczkami rozblyskujące wśród śniegu i znów gasnące iskierki. A niewidzialni śpiewacy intonowali jedną po drugiej kolendę, coraz to ładniejszą i weselszą...

Ożywił się mały domek w Nazarecie. Jezusek miał teraz drzewko, za którym tak tęsknił, miał gwiazdki, które mrugały do niego i opowiadały mu o niebie! Jakże wdzięczny był Aniołkowi, który odgadł jego tęskne pragnienie i taką mu sprawił uciechę! A że każdą radość lubił zawsze dzielić z drugimi i dopiero wtedy naprawdę czuł się szczęśliwy, gdy widział, jak się inni cieszą, więc poprosił Najświętszą swą Matkę, aby po-



Jezusek nie posiadał się z radości.

zwolniła przyjść biednym dzieciom z miasteczka, dla obejrzenia choinki.

I tak stało się, że strojenie choinki w Boże Narodzenie weszło w zwyczaj po całym świecie. Tylko że na choince zwykłych dzieci nie ma prawdziwych gwiazdek z nieba... Za to jeśli które z nich pomyśli o tym, aby zrobić radość biednemu dziecku, dla którego choinki nie strojono — to na pewno jego anioł stróż, choć niewidzialny, stanie przy drzewku i tajemną mocą serduszko takiego dobrego dziecka przepelni — błogim uczuciem zadowolenia i szczęścia!

C h l e b



Kiedy Najświętsza Rodzina mieszkała jeszcze w Nazarecie, zdarzyło się pewnego dnia, że do skromnego jej mieszkania zajrzał niedostatek.

Było to na przednówku. Ludziom brakło pieniędzy i nie mieli z czego zapłacić św. Józefowi za wykonane ciesielskie roboty. Martwił się staruszek, gdyż z dnia na dzień malały zapasy, zgromadzone w domu

na czarną godzinę przez zabiegliwą gosposię, Najświętszą Panią, a nowych nie było za co kupić. Zwłaszcza troskali się oboje święci Rodzice o małego, pięcioletniego Jezuska, który poblądł już nieco, chociaż, jak zawsze, był wesoły i pogodny, nie okazując niczym, że odczuwa jakie braki.

Pewnego dnia Najświętsza Panna z przerażeniem spostrzegła, że w skrzyni, w której przechowywała mąkę, pozostało jej tylko na kilka podpłomyków. Ze łzami w oczach westchnęła do Boga Ojca o rychłą pomoc i zagniotłszy ciasto, roznieciła ogień, aby je upiec.

Na samym krańcu Nazaretu, w na pół zapadłej chatynce mieszkał żebrak imieniem Jan.

Nie był on jeszcze bardzo stary i na pewno nie potrzebowałby żebrać, gdyby nie bezgraniczne lenistwo, które sprawiało, że nie chciał się imać żadnej pracy i wolał żyć z ludzkiej łaski. Mieszkańcy Nazaretu wiedząc o tym, wspomagali go niechętnie i Jan musiał nieraz robić dalekie żebrackie wyprawy w okolice, gdzie go jeszcze dostatecznie nie znano.

Właśnie kiedy Maryja wyjmowała podpłomyki z ognia, Jan przyszedł i prosił o obiad, gdyż jeszcze dziś nic nie jadł.

Zafrasowała się Święta Paniątka. Tych parę podpłomyków, to było wszystko, co mogła dać swoim najbliższym i jeszcze to niewiele trzeba będzie podzielić z żebrakiem. Ale nie namyślała się i odczekawszy chwilę, aż ciasto wystygnie, dała jeden z podpłomyków Jezuskowi, który go zaniósł Janowi.

Skrzywił się żebrak ujrawszy, czym go poczęstowano. Dotąd jeszcze prawdziwej biedy nie zaznał, a był dość wybredny i z ofiarowanych, zużywał tylko co lepsze kęski. Suchego chleba nie jadał, miał go jednak w domu duże zapasy, gdyż wychodząc na żebrzy, rzucał kawałki psom, aby go nie molestowały.

I dziś spodziewał się czegoś lepszego, nie wyraził jednak głośno swego niezadowolenia — przeciwnie, odebrawszy podplomyk z malutkich rączek Jezuska z życzeniem, aby mu wyszedł na zdrowie, podziękował pokornie i skromny dar włożył do kieszeni.

Zaledwie jednak uszedł kilka kroków, gdy mu się zdawało, że nikt na niego nie patrzy, wyjął ciasto z kieszeni i z pogardą precz od siebie odrzucił. Przyszedłszy do domu wziął rybę, złowioną z rana na wędkę, upiekł ją na oleju, który poprzedniego dnia otrzymał, i zjadł ze smakiem, popijając szklaneczką lekkiego wina.

Nazajutrz ubierając się, przypadkiem włożył rękę do kieszeni i namacał w niej jakieś okruchy. Ponieważ, jak na żebraka, był dość porządny, wywrócił kieszeń, aby ją wytrząsnąć. Kilka z okruszyn padło na stół i zamigotało dziwnym blaskiem. Jan przyjrzał im się obojętnie i nagle skamieniał z podziwu.

To były okruchy złota!

Nie dowierzał zrazu oczom i zaczął się lepiej przyglądać, próbować w palcach, w zębach... Nie ulegało wątpliwości, to było złoto...

Przykląkł i z chciwością wybierał wszystko, co spadło na ziemię, ale w podłodze były szpary i nie był

pevien, czy się co nie zawieruszyło. Nie było wiele tych okruszyn i teraz dopiero przypomniał sobie, że pochodzą one z podpłomyka, otrzymanego w domu cieśli. Wiedział, że cieśla i cała jego rodzina cieszyli się ogólnym szacunkiem, a o małym Jezusku mówiono nawet, iż to jakieś dziwne dziecko, które do wielkich przeznaczone jest rzeczy.

Gdy sobie to wszystko przypomniał, zrozumiał, że się stał cud i że ów wzgardznoy przezeń chleb, wyrzucony w śmieci, stałby się dla niego źródłem bogactwa. A tak zaledwie trochę małych okruszków pozostało w jego rękach.

Uniesiony chciwością, z rozpacz zaczął rwać włosy na głowie, zlorzeczyć sobie, że samochcąc pozbawił się skarbu. Potem pobiegł na drogę, którą szedł z domku cieśli, lecz pomimo skrzętnego szukania, chleba ani złota znaleźć już nie mógł.

Zaniósł okruszki do złotnika i ten potwierdził, że to istotnie czyste złoto. Dostał Jan za nie garść pieniędzy, które mu pozwoliły przez dłuższy czas żyć w dostatku, bez odwoływania się do ludzkiej łaski.

Kiedy pieniądze się wyczerpały, Jan postanowił pójść do domu Józefa cieśli, w nadziei, że znowu dostanie coś takiego, co w kieszeni zamieni mu się na złoto.

Trafił na lepsze czasy. Odbiorcy wyplacili nareszcie swoje należitości św. Józefowi i w domku panowała radość, gdyż Najświętsza Panna mogła znowu ukochanym swoim pożywniejszą przygotować strawę. To też gdy zobaczyła żebraka, z radością posadziła go przy

stole, częstując resztą obiadu, który św. Rodzina co-tylko spożyła. Dała mu także kilka groszy.

Ale Jan wbrew swemu zwyczajowi nie był z tego kontent. Ani zupy, ani potrawy z ryby do kieszeni włożyć nie mógł, miedziane grosze też mu do jego planów nie były potrzebne. Korzystając z tego, że Jezusek wbiegł właśnie do izby, poprosił go o kawałek chleba.

Boskie Dziecię spojrzało mądrymi oczyma na żebraka, który pod tym spojrzeniem zmieszał się nieco. Jezusek nie mówiąc nic, sięgnął po leżącą w szafie kromkę chleba i podał Janowi, który drżącą ręką włożył ją do kieszeni, po czym podziękowawszy, wyszedł z izby.

Drżąc z niecierpliwości, zaledwie uszedł kilka kroków, sięgnął do kieszeni. Ale wyjął tylko kromkę — chleba... Nieco go to stropiło, ale pomny, że za pierwszym razem dopiero nazajutrz zauważył złoto, postanowił czekać cierpliwie.

Noc spędził niespokojnie. Śniło mu się, że szedł drogą, niosąc ową kromkę chleba, aż nagle kieszeń zaczęła mu ciężyc i włożywszy do niej rękę, wyjął bryłę złota. Świeciło słońce i w jego promieniach zamigotał szlachetny metal pończym blaskiem. Pod wpływem tego snu zbudził się i właśnie promień słońca padł na jego nędzny tapczan.

Żebrak zerwał się i pobiegł w kąt, gdzie leżała jego siermięga. Z bijącym sercem wyjął z kieszeni jej zawartość — kawałek suchego chleba.

Babie lato



Nadeszła jesień. Była wyjątkowo ciepła i słoneczna, jednakże rolnicy, którzy obcując wciąż z przyrodą, potrafili jej wykraść niejedną tajemnicę, z różnych oznak przepowiadali zimę ostrą i długą. A tu na dobitkę bieda rozpanoszyła się w judzkiej krainie. Żniwa nie dopisały, zboża było mało i drogie, to też nędza zajrzała do mieszkań biednych ludzi, którzy nie mieli tyle, ile było potrzeba na wyżywienie i ubranie rodziny.

W małym domku w Nazarecie, który zamieszkiwała rodzina cieśli Józefa, dużo o tym mówiono i rozmyślano, w jaki sposób dopomóc głodującym. Najświętsza Maryja Panna najwięcej ubolewała nad losem niemowląt, dla których biedne matki nie miały nieraz kropli mleka, i którym nie mogły nawet dać koszulek, zastępując je podartymi łachmanami, albo w ich braku owijając dzieciątka szerokimi liśćmi...

Jako zabięgliwa gospodyni miała Najśw. Panienska duże zapasy przędzy, to też każdą wolną chwilę spędzała teraz przy kołowrotku, wysnuwając długie, cieniutkie niteczki, z których potem tkala na małym warsztacie płótno na koszulki dla maleńkich dzieci nędzarzy. Sześćioletni Jezusek, chcąc się także przyczy-

nić do ulżenia doli biednym ludziom, pomagał matusi w zbożnej pracy, zwijając nici, podając szpulki i wyręczając ją w łatwiejszych zajęciach domowych.

Pewnego dnia zauważył, że jego najukochańsza matuchna dziwnie jest zatroskana; nie zasiada już przy kołowrotku, ani tkackim warsztacie, a kiedy się odwróci, to ukradkiem z jej rzęsy srebrną strząsa leżkę. Przeraził się mocno. Pyta, czy nie zachorowała czasem, ale pocieszyła go, że jest zdrowa, tylko serce boli ją bardzo, nie ma już bowiem z czego robić koszulek, ani pieniędzy na zakupienie przędzy...

Zasmucił się Jezusek i jak to nieraz było jego zwyczajem, kiedy myśli o ludziach grzesznych lub nieszczęśliwych, trapiły jego kochające serduszko, wyszedł z domu i przechadzał się po polu, z którego plony już były sprzątnięte.

Gdy tak chodzi a myśli, jakby pocieszyć strapioną matuchnę i modli się do Boga Ojca o pomoc, mimowoli wzrok jego pada na ziemię. Patrzy — a tu pełno jedwabistych, srebrzystych niteczek, pozawieszanych o łodygi zielsk i krótko sierpem przycięte źdźbła pszenicy; zasnuwają pole białą, muślinową tkaniną, na której drgają jeszcze krople porannej rosy, lśnią jak najcudniejsze brylanty.

Nagłą radością zadrgało serduszko Boskiego Dzieciątka.

Wszakże znalazł, czego mu potrzeba! Trapi się matula, że nie ma przędzy na płótno, a tu oto najdelikatniejsza, najpiękniejsza, jaką wymarzyć można...

I któż to rozsunął ją tutaj, jakby odgadując jego życzenie?

Nie traci jednak czasu na długie rozmyślanie, lecz podnosi z ziemi pierwszy lepszy patyczek i nawija na niego przędzę. Nawija a śpieszy się, aby jaknajwięcej zebrać srebrzystych, jedwabistych nici i matuchnę ucieszyć!

Poweselała Najświętsza Panienska, gdy jej Synaczek przyniósł nowy zapas tak ślicznej przędzy, jakiej jeszcze nie miała i nie widziała. Z zebranych nici utkała zaraz płótno, uszyła koszulkę i zaniósła biednej matce, która nowonarodzone dziecię nie miała w co owinąć.

Ale radość nie trwała długo.

Gdy Jezusek znów wyszedł na pole, po nowy zapas, zafrasował się, bo więcej nici nie było. Usiadł na kamieniu, rączkami podparł białe czółko i patrzył przed siebie smutnym wzrokiem.

Wtem... co to takiego? Mały jakiś pajęczek wylazł na łądzkę trawy. tuż przy jego nóżkach, a za nim ciągnie się długa, srebrzysta niteczka...

Teraz wiadomo już było Jezusowi, komu zawdzięcza miłą niespodziankę! Ale żebyż to ten pajęczek chciał wysnuć nitczek tak wiele, tak wiele, ile ich potrzeba na koszulki dla wszystkich biednych dzieci!...

Pochyla nisko główkę, serdecznymi słowy dziękuje pajęczkowi za przysługę i szepce swoją prośbę. Pajęczek kiwa maleńką główką, jakby rozumiał o co chodzi. Przedłuża swoją nitczkę, wchodzi na nią, aż oto podnosi się wiatr, porywa przędzę i niesie ją w dal, razem z pajęczkiem...

Biedny Jezusek!... Tak się cieszył, że odnalazł tajemniczego dobroczyńcę, a ten pojechał gdzieś daleko i już pewnie nie wróci!...

Strapiony nie rusza się z miejsca, bo i pocóż wracać do domu, patrzeć na zasmucone oczy najdroższej Rodzicielki i nie móc ich rozweselić!

Nagle ujrzał znowu białe niteczki. Coraz ich więcej przybywa, niedługo już znów od nich zabieliło się pole. Widzi Boża Dziecina mnóstwo małych pajęczków, snujących srebrzyste niteczki, uwijających się skrzętnie od trawki do trawki, od łądygi do łądygi. Tu umocują jedną niteczkę, tam pociągają drugą.

Zrozumiał Jezusek, że to braciszkwowie i siostrzyczki jego małego przyjaciela przybyli z pomocą. Klasnął radośnie w rączki i zabrał się żwawo do pracy. Ale widzi, że sam rady nie da, bo nitek niezliczona moc; więc spieszy do sąsiadki, wdowy po rybaku, która ma synka w jego wieku, grzecznego, dobrego chłopczyka, ulubionego towarzysza zabaw.

Woła go zatem do pomocy i obaj chłopcy pilnie nawijają na szpulki jedwabistą przędzę. Zbierają, zbierają, a nadażyć nie mogą, gdyż pajęczki pracują także ochoczo. Zapadł wreszcie zmrok i Najświętsza Panienska, zaniepokojona o swego Synaczka, wyszła Go szukać.

To była radość w małym domku cieśli Józefa! Przędzy starczyło na długo i wszystkie biedne dzieci zaopatrzone zostały na zimę w koszulki tak cienkie i piękne, jakich żadne z dzieci bogaczy nie miało.

I odtąd co jesień po polach, po miedzach i rżyskach, snują pracowite pajęczki przędzę Matki Boskiej,

którą ludzie nazywają także „babie lato“. Wiatr srebrne niteczki porywa i roznosi w dal, czasem nawet zabłądzi z nimi w ulice wielkich miast, aby ludziom sytym i ciepło odzianym przypomnieć o tym, że wiele jest takich biednych matek, które nawet koszulek dzieciom swoim dać nie mogą...



Jak Jacuś-śpiewak dostał się do nieba



Wchacie powoli zapadał mrok, szarym przedziwem otulając kąty. Był to dzień wigilijny, ale w izbie nie było nikogo, prócz małego Jacusia sieroty. Wuj jego i opiekun poszedł do organisty po opłatki, wujna dawała obrok gadzinie, dorzucając lepszej osypki, aby i zwierzęta wiedziały, że to dzień wielkiego święta. Towarzyszyła jej do obórki malutka, trzyletnia Anusia, jedynaczka, oczko w głowie rodziców, trzymając się, jak zawsze, matczynej spódnicy. Jędrusiowi kazala wujna zasiąść na podłodze, położyła mu na kolana glinianą miskę, w garść dała wałek i poleciła utrzeć maku do klusek na wigilijną wieczerzę.

Pociło się nieboże nad robotą, bo liczyło dopiero dziewięć lat, a od zarania życia tulając się między ludźmi, poniewierane, często gęsto bite i głodzone, słabe to było i mizerne. Od czasu jak umarła matka, która służywała w mieście, było Jacusiowi coraz gorzej, bo nikt na jego utrzymanie niełożył, a wiadomo, że darmo chleba dawać nie chcą. Jeszcze wuj był nienajgorszy i pamiętał, że to siostry dziecko, ale wujnę korciło,

iż przybędą, jak go nazywała, szwęda się po chacie. Nie dawała mu też próżnować i chłopak latem pasał gęsi i dwie krowy, a zimą uprzętać musiał w izbie, nosić wodę i pilnować małej Anusi, kiedy jej rodzice chodzili koło niewielkiego gospodarstwa.

I dzisiaj siedzieć musiał w izbie, choć dusza wyrywała mu się za próg, do wsi, gdzie jego rówieśnicy i starsze chłopaki włóczyli się od chałupy do chałupy, śpiewając kolendy.

Bo Jacuś był zamiłowanym śpiewakiem. Niech raz usłyszał jakąś piosenkę — w lot przyswajał sobie melodię, zapamiętał słowa i od rana do nocy wyśpiewywał za gąskami. Dziwowali się nieraz gospodarze w Dąbrowie, skąd w tym chudziaku bierze się głos tak dźwięczny i czysty i słuchali go chętnie, obdarzając nieraz kawałkiem chleba z miodem za owo śpiewanie, które brało za serce i jakąś rzewność budziło w duszy. Zwali go też „Śpiewakiem“ i pod tą nazwą najwięcej był znany.

Siedzi Jacuś z miską na ziemi, ścisną ją kolanami, bo ciągle mu się wymyka i trze mak, a po głowie chodzą mu nowe kolendy, które niedawno słyszał. Aż tu przez zamknięte drzwi dochodzi go pieśń chłopców, przeciągających koło chaty. Jak tu usiedzieć? Jednym susem zrywa się z podłogi i w pospiechu buch! drewnianym trepem o miskę! Rety! posypały się szczyrby po ziemi, oblepione szarą masą...

Oslupiały stoi Jacuś nad skorupami, wtem słyszy głos wujny. Już otwiera drzwi... za chwilę będzie w

izbie i zobaczy... Bez namysłu przemyka się koło niej zwinnie jak kot, przewracając przyczepioną do fartucha matki Anusię i zanim oszołomiona kobieta spostrzeża katastrofę, już jest daleko. Gnany strachem, pędzi przed siebie nie oglądając się, mija ostatnią chałupę i dopiero zziązany, zdyszany, nie widząc już drogi przed sobą, gdyż pokryta puszystym, śnieżnym całunem śniegu, zlewa się z polem, pada wyczerpany w przydrożny rów.

Mechanicznie próbuje podnieść się, ale siły wypowiadają mu posłuszeństwo, przy tym śnieg tak dziwnie miękki, przytulny... Przywykły do legowiska na twardej ławie lub na garści słomy na podłodze, nigdy nie zaznał Jacuś tak wygodnej pościeli. Zresztą gdzie iść? do chaty wracać nie można, bo wujna nie daruje mu stłuczonej miski i zmarnowanego maku, który dostała od bogatszej sąsiadki, a na który tak się wszyscy cieszyli...

Leży więc Jacuś w białych puchach, a myśli błyskawicą snują mu się po głowie. Oto przed nim śnieżna równina, a za nią czarna, nieruchoma ściana lasu. Nad lasem ciemny, szafirowy firmament. Patrzy chłopiec, czy nie widać już gwiazdki. O — właśnie wysunęła się jedna zza boru. Pewnie w chacie zasiądą teraz za stołem, jeżeli wuj wrócił, bo wieczerza już była gotowa. Tylko ten mak... przez niego pozbawieni będą przysmaku! Ale on wcale wieczerzy jeść nie będzie, bo wrócić się boi... Najgorzej, że pozbawiony zostanie Pasterki. Mieli wszyscy iść do kościoła na północną mszę,

tak się na to cieszył, że śpiewać będzie kolendy! Umówili się z Bartkiem i Antkiem, że staną pod chórem i jak tylko organista zaintonuje: „W żłobie leży...” zawtórują mu z całych sił!

E, co tam! Jak dzwony usłyszysz, to i tak pójdziesz. Wciśnię się między ludzi, w tłoku wujowie go nie zobaczą, a choćby — toć w kościele bić nie będą! Kościół blisko, na drugim końcu wsi, to w mig doleci, nie ma co się spieszyć. Zresztą tak się Jacusiowi nie chce ruszyć z wygodnej leży... oczy się jakoś kleją, w myślach majaczą zasłyszane w zimowe, długie wieczory opowieści prządek... a tymczasem drobny śnieżek z góry sypie a sypie...

Spojrzał jeszcze raz na firmament pokryty gwiazdami, które w ślad za pierwszą siostrzycą wychyliły z szafiru nieba złociste główki i już nic nie wie, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje...

* * *

W niebie panował wielki niepokój. Serafin, pod którego pieczę były najmłodsze chóry anielskie, z rozpaczy omal nie wrywał sobie piór ze śnieżystych skrzydeł...

Dzisiejszej nocy niebo i ziemia obchodzą święto narodzenia Dzieciątka Jezus. Chóry niebieskie już od miesiąca ćwiczą kolendy, wszystko szło, jak z płatka, aż tu nagle wypadek...

Najmłodszy Cherubinek, jeden z sopronów w chórowym zespole, skuszony ciekawością zobaczenia, jak też tam na ziemi przygotowują się ludzie do obcho-

dzenia Godów, dziś rano, korzystając, że starsi byli zajęci i nikt na niego nie zwracał uwagi, wydlubał sobie w obłokach maleńkie okienko i wyrzwał na ziemię. Gdzie spojrzeć, cała pokryta jest śniegiem, skrzą się na jej białym całunie brylanty mrozu.

Aniołek przyzwyczajony do temperatury niebios — nagle dostał febry i trzęsącego się z zimna zanieść musiano do infirmerii. Pomimo najtroskliwszej opieki nie mogło być mowy o tym, aby do wieczora zrobiło mu się lepiej i mógł zająć swoje miejsce w chórze, gdyż bolało go mocno gardziółko. A był to mimo młodego wieku jeden z najlepszych niebieskich śpiewaków, prześlicznym obdarzony głosem i Serafin dyrygujący dziecięcym chórem był niepokieszony, nie mogąc znaleźć na jego miejsce nikogo odpowiedniego.

Strapiony udał się do św. Piotra z prośbą o pomoc. Klucznik niebieski zawołał świętych na naradę, ale ja-koś nikt z nich nie mógł nic wymyśleć. Św. Cecylia, która miała grać na organach, zajęta była właśnie przygotowaniem nut i nie mogła się stawić na zebranie, a na jej radę najwięcej liczono. Wtem św. Izydor — oracz, który przyszedł niewezwany, ponieważ uchodził za mało muzykalnego, odezwał się niespodziewanie:

„Mam dobrą myśl. Kiedy późną jesienią byłem ostatni raz na ziemi, zajrzałem wtedy do Dąbrowy, gdzie mieszka pewna uboga wdowa, mająca sześć-morgowe gospodarstwo, a do pomocy jedynie syna 13-letniego. Chłopiec ten mimo młodego wieku orał właśnie krowami półko pod zasiew oziminy, lecz zmę-

czony pracą nad siły, położył się w bruździe i zasnął.

„Obawiałem się, że rola nie będzie na czas uprawiona i podczas snu pole zorałem. Pracę uprzyjemniał mi bardzo śpiew małego pastuszka, który za miedzą pilnował dwóch krów i stadka gęsi. Nie uwierzycie, mili bracia, jaki ten chłopiec miał śliczny głosik i z jakim uczuciem śpiewał: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“!

„Jest to biedny sierota, nikt o niego nie dba i z pewnością nie będzie się upominał, jeżeli go sobie do nieba weźmiemy. Może się przydać w chórach Serafina, ilekroć mu który z aniołków zachoruje, a przede wszystkim dzisiaj. Już niedługo nadejdzie święta Noc, narodzi się Dzieciątko, więc spieszcie się i wyślijcie kogo na ziemię po chłopca. Imię mu Jacuś, przezywają go Śpiewakiem, a mieszka w chacie drugiej od końca wsi. Jest grzeczny, pobożny, nigdy Boga złymi słowami i uczynkami nie obraża, piskląt z gniazd nie wybiera, więc śmiało możesz mu, św. Piotrze, otworzyć furtkę do nieba!“

Serafin klasnął w dłonie, rozpogodziło mu się oblicze. Zaczął błagać św. Piotra, który miał nieco skrupułów i udało mu się staruszka udobruchać. Przyrzekł otworzyć furtkę Jacusiowi i wysłał zaraz dwóch małych aniołków, aby chłopca z ziemi na skrzydłach przynieśli.

Aniołowie mieli nieco trudu z odnalezieniem Jacusia, bo według wskazówki św. Izydora szukali go w chacie wujów. Ale kiedy podsluchali ich rozmowę



Wzięli śpiącego chłopca i unieśli w przestworza.

i dowiedzieli się, że Jacuś uciekł z chaty niewiadomo gdzie — jeden anioł poleciał w jedną, drugi w przeciwną stronę wsi i bardzo prędko ten pierwszy chłopca w rowie znalazł. Zaraz przywołał swego towarzysza, wzięli śpiącego chłopca między skrzydła i unieśli w przestworza.

O północy w drewnianym kościółku w Dąbrowie sygnalizowano Pasterkę. Świątynia zapełniła się pobożnym ludem, a radosne melodie kolend uderzyły o stropy. Dziwowali się przyjaciele Jacusia, że mimo umowy nie stanął pod chórem. Ale on wtedy był już

w niebie i w chórze Serafina w zastępstwie chorego aniołka wyśpiewywał z całej duszy na chwałę Bożą, a Święci wieszowali św. Izydorowi, że tak dobrego znaleźli zastępcę.

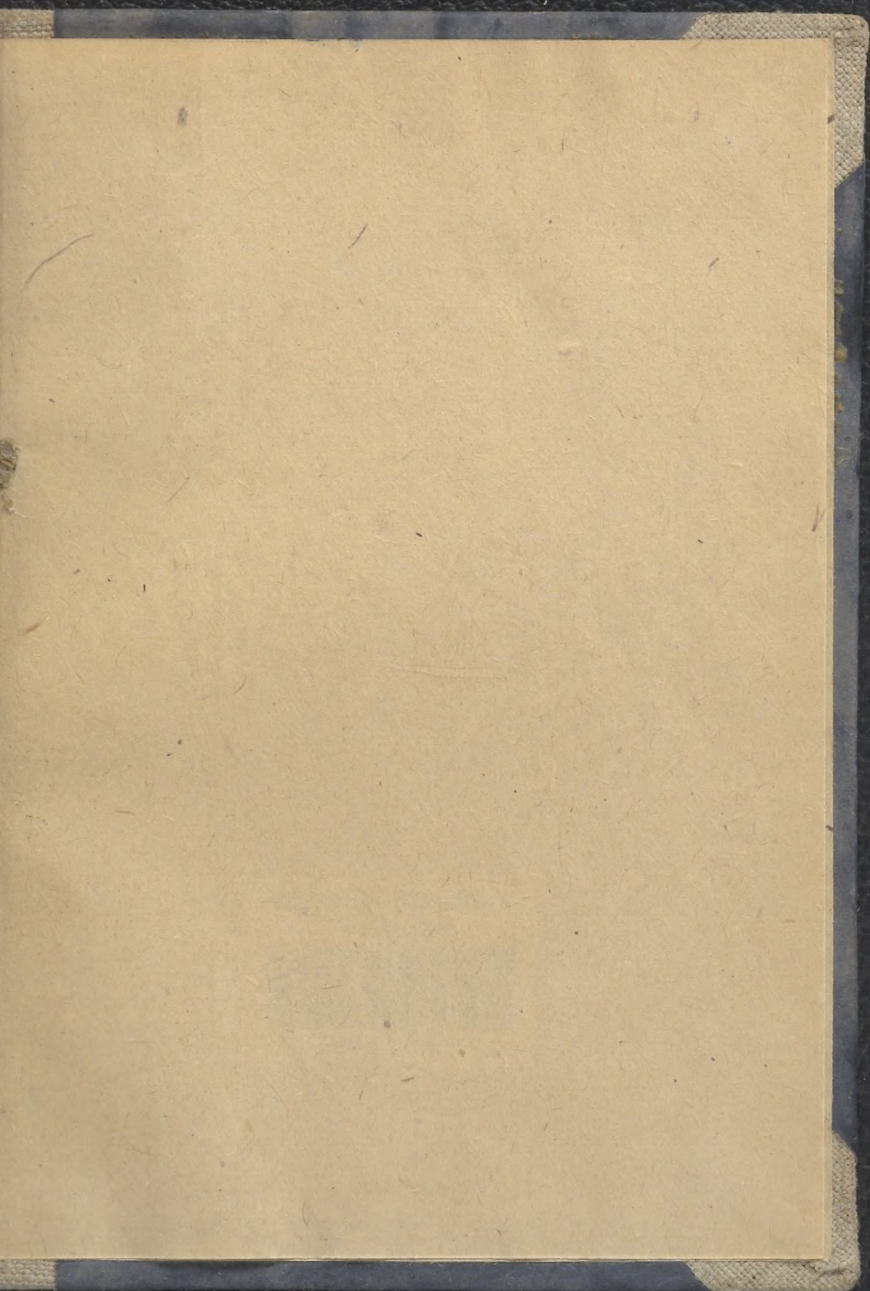
* * *

Nazajutrz jeden z gospodarzy pobliskiej wsi jadąc do kościoła na nabożeństwo, zauważył w przydrożnym rowie jakąś małą, skuloną, śniegiem przypruszoną postać. Wsiadł i obejrzał z bliska. Były to skostniałe zwłoki Jacusia-Śpiewaka. Na białych usteczkach chłopca zastygł pełen zachwytu uśmiech...



SPIS TREŚCI:

1. W drodze do Egiptu	3
2. Gwiazda wigilijna	9
3. Jak Pan Jezus oswoił wilki	13
4. Choinka Dzieciątka Jezus	18
5. Chleb	22
6. Babie lato	27
7. Jak Jacuś-śpiewak dostał się do nieba	32



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018182611



600952
